

Moja zawodowa praca łączy się z intelektualną zabawą, z wielką pasją. Ale lubię też czytać, interesuje mnie filozofia, religioznawstwo i historia.

No i Kocham psy! Mam teraz takich dwóch przyjaciół, którzy każdego dnia wyprowadzają mnie na spacer – mówi prof. Włodzimierz Wojciech Ptak.

MISTRZ NISZOWEJ DYSCYPLINY

W dworcu Jana Matejki w Krzesławicach znajdują się, namalowane przez Józefa Krasnowolskiego, naturalnej wielkości portrety dziadków profesora ze strony ojca.

W Muzeum Etnograficznym obejrzałam stroje tych przodków, między innymi te, w jakich chodziła babcia: Marcjanna z domu Szafrńska – matka czterech synów oraz ośmiu córek, z których jedną zabrała z tego świata szalejąca wówczas „hiszpanka”, oraz te, jakie zakładał dziadek Franciszek. Dziadek Franciszek miał tęgą głowę do interesów i dobrze prosperującą karczmę – przez co był uważany za najbogatszego chłopa w Bieńczycach.

Pora wreszcie spotkać się z immunologiem prof. Włodzimierzem Ptakiem. Gdzie? Chyba najlepiej przy ul. Czystej. W instytucie naukowym, z którym jest związany od prawie pół wieku.

W PRZYJAŹNI Z WYSPIAŃSKIM

– Nawet wizualnie może uchodzić za kułaka, prawda? – szczerze śmieje się profesor, gdy wspominam protoplastę jego rodu. Na potwierdzenie tych słów pokazuje zdjęcie dziadka z sumiastym wąsem, o bystrych ciemnych oczach wyzywająco patrzących jakby w przyszłość. I czeka na moją reakcję.

– Tak, może – potwierdzam.

Może, bo kilkanaście morgów pola uprawnia do nazwania Franciszka Ptaka kułakiem. Tyle że skądinąd wiem, że ten kułak, a przy tym postawny mężczyzna o wyniosłym wyglądzie, był posłem do galicyjskiego Sejmu Krajowego. I działaczem ruchu ludowego, o którym Wincenty Witos napisał, że nie dość iż zajmuje się polityką, to na dodatek prenumerowane przez siebie gazety wyklada do czytania w swojej karczmie. Wiem też, że z zapalem wspomagał budowę szpitala bonifratrów, założył w Bieńczycach Towarzystwo „Sokół” i Kasę Stefczyka. Że współorganizował słynne „wesele krakowskie”, które w 60. rocznicę urodzin Franciszka Józefa z fantazją defilowało w Wiedniu przed majestatem cesarskim. Wiem, że lubił artystów i się z nimi przyjaźnił – między innymi z Włodzimierzem Tetmajerem, Lucjanem Rydlem, Wojciechem Kossakiem. Również ze Stanisławem Wyspiańskim, który wiele jego cech charakteru wykorzystał w budowie postaci Czepca

z *Wesela*. I wiem jeszcze jedno: że w Nowej Hucie znajduje się ulica imienia Franciszka Ptaka.

RODZINNA FOTOGRAFIA

– Dziadka Pan dobrze pamięta?

– Słabo. Umarł, gdy miałem niespełna siedem lat. W mojej pamięci zatrzymał się jedynie taki obraz: starszy pan siedzi w fotelu, prawie nieruchomy. Aha, wtedy pogłaskał mnie po głowie.

Dziadek profesora to postać na osobne, barwne opowiadanie. Skończył jedynie cztery klasy, tak zwaną freblówkę. Ale był chłopcem ambitnym. Twardym. Dużo czytał, dużo sam się uczył. Tyle że gdy osiągnął już wiele, stał się kimś, to wcale mu nie zależało, aby jego dwaj synowie też się wykształcili. Nie chciał im finansować studiów.

– Dlatego mój ojciec, Wojciech, był z nim trochę skonfliktowany. I sam sobie zapewnił utrzymanie podczas nauki na Politechnice Lwowskiej; bez pomocy dziadka uzyskał tytuł inżyniera budowy dróg i mostów kolejowych.

Po tym wyznaniu profesor wpada w zadumę. I dopiero po chwili sięga po foliową koszulkę, która leży pośród masy książek porozkładanych na biurku. Z niej wyciąga kolejną czarno-białą, nieco podniszczoną fotografię i wskazuje na swojego ojca, który

dostojnie, w eleganckim ciemnym surducie i nieco jaśniejszych spodniach, siedzi z boku.

SKRZYPCE

Ojciec, tak samo jak dziadek, był człowiekiem twardym. Wymagającym od siebie (biegle władał językiem niemieckim i francuskim) – ale i od innych. Także własne dzieci, szczególnie syna, traktował raczej stanowczo.

– Kochał chodzić na koncerty do filharmonii. I grać na skrzypcach! Zresztą robił wszystko, abym ja i moja siostra ów instrument także obdarzyli podobną estymą.

Pomimo nauk pobieranych u koncertmistrza krakowskiej filharmonii Stanisława Syrewicza, u profesora Kawalli, także i w bydgoskim konserwatorium (bo tam rodzina się przeniosła,



Prof. Włodzimierz Ptak

A. Kobos

gdy ojciec objął wysokie stanowisko we francusko-polskim towarzystwie kolejowym) Włodek – choć grał niezłe – skrzypkiem nie został. Jego umysł zdecydowanie bardziej pochłaniała przyroda. Tyle że po śmierci ojca, którego dopadł zawał serca, muzykowanie okazało się bardzo przydatne. Bo trzeba było zapracować sobie na studia. Na zakup książek, które czytał namiętnie. Dlatego przez parę lat, od matury zdanej eksternistycznie w 1946 roku, przyszły profesor – uczyony, którego prace z dziedziny immunologii niebawem miały okazać się cenne dla rozwoju medycyny, w tym transplantologii – grał, wraz z zespołem tanecznym, na rozmaitych zabawach, festynach czy na weselach. Tyle że wyłącznie sezonowo.



Rodzinny portret; ojciec Włodzimierza Ptaka (pierwszy od prawej) siedzi przy swojej matce, Mariannie

BIBLIOTECZNE ZASOBY

– Miłość do muzyki – po ojcu. Do książek – po dziadku? – dociekam.

– Ten miał rzeczywiście zasobną bibliotekę. Notabene, właśnie w niej, w czasie wojny, mając bodaj lat trzynaście, natrafiłem na książkę, która w dużej mierze wpłynęła na ukształtowanie mojego światopoglądu. *Studia o doktrynach socjalnych chrześcijaństwa* Yvesa Guyota przyczyniły się do tego, że jestem areligijny.

– Czy o wpływie lektur można też mówić w odniesieniu do przyrodniczych zainteresowań?

– Można. Dotąd mam książki, które mnie inspirowały. Wśród nich tę szczególną: *Historię naturalną jednego pierwotniaka* Jana Dembowskiego, wileńskiego biologa, protozoologa, profesora Wolnej Wszechnicy Polskiej w Łodzi, a także pierwszego po drugiej wojnie światowej prezesa Polskiej Akademii Nauk. Choć przyznam, że w dziecięcych czy młodzieńczych latach nie tylko biologia mnie pasjonowała, ale też astronomia.

ŻYCIE WEWNĘTRZNE PIERWOTNIAKÓW

Profesor – choć nie lubi o tym mówić, a jak już, to z przymrużeniem oka – też był ambitny. Pracowity. I na dodatek konsekwentny – właśnie jak dziadek, jak ojciec. Jak o czymś marzył, to te marzenia starał się realizować. Czy tego nie dowodzi na przykład to, że już jako dzieciak chciał, z pomocą mikroskopu, rozszyfrować życie wewnętrzne pierwotniaków, o których dowiedział się od Dembowskiego?

– Mama, którą bardzo kochałem, miała ze mną kłopoty – mówi.

– Brakowało czasu na szkolną naukę?

– Nie, świadectwa miałem bardzo dobre. Ale zadreczęłem ją swoimi przeraźliwie smrodliwymi zbiorami. Nie wystarczały mi bowiem w domu pies, kot, kanarek, rybki, a nawet biała mysz, która choć mieszkała w klatce, to jednak uwielbiała spacerowanie po mieszkaniu. Do tej menażerii dodałem jeszcze pierwotniaki.

Tradycyjne definicje uważały te drobne organizmy – takie jak na przykład ameby, wiciowce, gąbki, glony – za jednokomórkowce. Co w tych bezpłciowo rozmnażających się zwierzętach czy roślinach mogło zaintrygować małego chłopca na tyle,

że permanentnie znosił to paskudztwo (jak mawiała matka) do domu?! Nie pomagały przecież ani prośby, ani groźby tej wyjątkowo tolerancyjnej kobiety, która na co dzień rzetelnie zajmowała się domem. Wyprawa na stawy, a właściwie na bajora przy Bonarce – tu, gdzie dziś znajduje się rondo Matecznego – były dla małego chłopca emocjonujące. A jeszcze bardziej cieszyły go chwile, gdy godzinami mógł obserwować, co się w akwariach, słoikach czy klatkach działo.

GWIEZDNE FASCYNACJE

Gwiazdy, księżyc – te również zaprzątały umysł małego Włodka, który do dziś pamięta, jak mocne miał wypieki na twarzy, pochłaniając dzieło Sir Jamesa Hopwooda Jeansa. I jak wielka złość nim szarpała, że nie mógł całkowicie zrozumieć tego, o czym pisał w swych naukowych dziełach inny angielski uczyony, wybitny fizyk, astrofizyk i filozof w jednej osobie Arthur Stanley Eddington.

Lektura lekturą, jednak liczą się doświadczenia. Także własne. Tak już wówczas myślał przyszły laureat Nagrody im. Jędrzeja Śniadeckiego (1978), Nagrody Fundacji Alfreda Jurzykowskiego (Nowy Jork, 1981), nagrody państwowej (1984) i wielu jeszcze innych znaczących wyróżnień. Dziś to myślenie tak mi obrazuje:

– Tadzik Gumiński (późniejszy docent pediatrii), którego też fascynowała astronomia, mieszkał przy ul. Szpitalnej, a ja przy ul. Garncarskiej. Niedaleko od naszych domów, na Podwalu, tam, gdzie teraz mieści się księgarnia naukowa, był sklep optyczny Maruńczak i spółka. I właśnie w tym sklepie zakupiliśmy soczewki i inne części niezbędne do budowy teleskopu. Ten teleskop, oczy-



Dziadek Franciszek Ptak – wdzięczna dla biografów postać do opisanja

wiecie, był prymitywny. Ale dzięki niemu wiele nocy spędziliśmy na obserwacji nieba, rozszyfrowywaniu układów gwiazdnych. To była naprawdę wielka frajda!

CYCERON

Frajdą, już nie dla chłopca, a dla młodzieńca, było też – w ramach ćwiczenia pamięci – uczenie się na pamięć *Pana Tadeusza* (do dziś potrafi recytować obszerne fragmenty tego dzieła), wierszy Ujejskiego, Majakowskiego czy Cyserona po łacinie. Notabene, z tym mówcą rzymskim, popularyzatorem filozofii greckiej, politykiem, który zasłynął filipikami, łączy się zabawne wydarzenie, które jeden z kolegów profesora nie bardzo może mu zapomnieć. Otóż gdy przez jakiś czas ów kolega mocno forsował pomysł, któremu Włodzimierz Ptak się przeciwstawiał, dyskusja adwersarzy zakończyła się tak:

– Jak długo, Katylinu, będziesz... – rzekł kolega po łacinie.

– Jak długo twoje szaleństwo będzie nas oszukiwać – odpowiedział profesor również po łacinie, bo znał na pamięć i dalszy fragment cyserońskiej mowy.

ZACIEKAWIENIE NOBLISTY

Wspomnienia z przeszłości dalekie od brązownictwa, gęsto inkrustowane żartami, wręcz rozbawieniem – wszystko to sprawia, że z uczonym, który w naukach podstawowych zasłynął w świecie niejednym ważnym odkryciem (co odnotowały najbardziej prestiżowe zagraniczne czasopisma medyczne), rozmawia się jak z kimś, kogo się zna, jakby był sąsiadem...

– Od dwunastu lat jestem na emeryturze, mam osiemdziesiąt dwa lata i wszystko, o czym Pani opowiadam, to czas przeszły. Było, minęło... – słyszę.

– To dlaczego codziennie Pan przychodzi na ul. Czystą?

– Z przyzwyczajenia.

Temu ostatniemu wyznaniu nie dam się zwieść. Absolutnie! W Katedrze i Zakładzie Immunologii Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego – do których założenia i zorganizowania mój interlokutor się przyczynił – obecnie prowadzone są badania, w których profesor aktywnie uczestniczy. I choć w ciszy laboratorium czy nad książkami nie siedzi już, jak dawniej, od ósmej rano do drugiej w nocy, to jednak kilka godzin, między innymi razem z doc. Krzysztofem Bryniarskim, dość intensywnie pracuje. Zwłaszcza że cieszą go wyniki mocno już zaawansowanych badań (w skrócie: nad mechanizmami hamującymi odpowiedź immunologiczną; odkrycie krakowskich naukowców ma związek z uwalnianiem przez komórkę tzw. małego interferującego RNA). A także i to, że zainteresował się nimi biolog molekularny Sidney Altman.

– Altman – laureat Nagrody Nobla z 1989 roku – odkrył tzw. rybozomy, substancje zbudowane z kwasów rybonukleinowych zdolne do katalizowania pewnych reakcji chemicznych. To jego odkrycie (a także Tomasa Cecha, który w tym samym czasie i też za badania nad rybozymami dostał Nagrodę Nobla) wyzwala nadzieję, że nauka kiedyś będzie umiała wytłumaczyć powstanie życia. I dziedziczność tego, co powstało – rozmarza się profesor.

KONTAKTY

Sidneya Altmana, wykładowcy w Yale University School of Medicine, krakowski immunolog nie zna osobiście. Od jedenastu lat, ze względu na kłopoty ze zdrowiem (choć wciąż jest zapraszany!), już nie lata do New Haven, na tę wielce prestiżową, jedną z najbogatszych i bodaj trzecią co do daty założenia (1701) uczelnię w Stanach Zjednoczonych.

Tyle że kontakty nawiązywane w Yale (od 1974 roku), praca z wybitnie utalentowanymi umysłami (m.in. ze zmarłym już

Charles'em Janeway'em, który był uważany za potencjalnego noblistę i był doktorem h.c. naszej Uczelni) nadal owocują stałymi wizytami naukowymi najbliższych współpracowników profesora. Ale czy może być inaczej, skoro związek krakowskiego immunologa z tamtejszym uniwersytetem trwał przez ćwierć wieku i został naznaczony dwudziestoma sześcioma dłuższymi lub krótszymi pobytami w stanie Connecticut? Na dodatek polski medyk dał się tam poznać z jak najlepszej strony: większość jego innowacyjnych prac naukowych zostało opublikowanych

w czołowych amerykańskich i brytyjskich pismach medycznych.

– W Yale University pracował Pan w sumie siedem lat. Nie kuśilo, aby pozostać tam dłużej, nawet na zawsze?

– Kuszone mnie, ale nie skuszono. Nie lubię być długo poza Krakowem. Z radością do niego wracałem, niczym kot. Ot, taka już moja psychiczna konstrukcja.

W POZŁACANEJ RAMCE

Maleńki pokój przy ul. Czystej po sufit wypełniony jest półkami z książkami, luźno zapisanymi kartami. Także akademickimi podręcznikami, pośród których dostrzegam napisane przez profesora – przy współdziałaniu żony Marii oraz Mariana Szczepaniaka – 318-stronicowe *Podstawy immunologii*, niedawno wydane przez PZWL. Różnorodnych notatek pełno jest także na niewielkim biurku oraz na krzesłach. Profesor jednak znakomicie porusza się w tej ciasnocie. Dobrze wie, gdzie i czego należy szukać. Patrząc, jak bez trudu sięga po umieszczone w efektywnej, pozłacanej ramce



Z prof. Charles'em Janewayem z Yale University, wybitnym immunologiem, który zapewne znalazłby się w gronie noblistów, gdyby nie przedwczesna śmierć

zdjęcie. I słucham, jak z zadumą mówi o osobie, którą to zdjęcie przedstawia:

– Ten człowiek – z Yale University – był moim prawdziwym przyjacielem. Wybitny, oryginalny umysł, zmarł zdecydowanie przedwcześnie. Miał pięćdziesiąt jeden lat, gdy rak płuc go pokonał. To stało się w 1983 roku. W ostatnich miesiącach życia byłem przy nim...

MĘSKA PRZYJAŹŃ

Fotografia przedstawia prof. Richarda K. Gershona. Wybitnego uczonego, który piastował funkcję szefa Department of Pathology. Włodzimierz Ptak zetknął się z nim wtedy, gdy po raz pierwszy zawitał na amerykańską uczelnię dzięki rocznemu stypendium ufundowanemu przez Światową Organizację Zdrowia. Było to w 1974 roku.

– Gershon (oprócz nauki, co oczywiste) kochał wino i kobiety, na te uciechy nie żałował pieniędzy. Był Żydem. Urodził się w Stanach, ale jego korzenie w trzecim pokoleniu sięgają Słupcy, w Poznańskim; dziadek Richarda przed rosyjską branką uciekł do Ameryki, tam założył rodzinę. Richard, co może warto tu dodać, miał równie zdolnego jak on sam brata. Profesora farmakologii na Columbia University... – tak zaczyna dłuższą opowieść o męskiej, blisko dwudziestoletniej przyjaźni nauczyciel kilku pokoleń lekarzy i naukowców, z których kilku doszło już do stopnia profesorskiego.

Wspólna wieloletnia praca nad rolą makrofagów w regulacji odpowiedzi immunologicznej zbliżyła do siebie obu naukowców. Na dodatek Gershon zapisał się w pamięci krakowianina jeszcze innym wydarzeniem. To on, razem z profesorem Benacerrafem, laureatem Nagrody Nobla (i uwaga: równocześnie bankierem, na dodatek dyrektorem nowojorskiego banku!), kto wie czy nie uratował mu życia? Wtedy, gdy nagle zasłabł – i to akurat w laboratorium! Bagatelizowana kamica wątrobowa dała znać o sobie – nie tylko atakiem, ale i silnym zapaleniem trzustki. Przyjaciele błyskawicznie przetransportowali chorego do szpitala, gdzie poddano go natychmiastowej operacji. Najważniejsze: z dobrym efektem.

YALE

Odporność organizmu w różnych aspektach, wewnętrzne mechanizmy regulacji odpowiedzi układu immunologicznego latami zajmowały profesora. I tu, w polskich laboratoriach. I w Anglii, do której pojechał po raz pierwszy w 1967 roku – na stypendium ufundowane przez British Council. W National Institute for Medical Research pracował przez rok, po powrocie z Londynu do Krakowa miał już gotową pracę habilitacyjną z dziedziny patologii, która opisywała mechanizm i – dotąd stosowaną w świecie – metodę testowania reakcji odpornościowej organizmu na tzw. nadwrażliwość kontaktową). Obronił ją w 1970 roku.

W Yale University Włodzimierz Ptak na „dzień dobry” wykazał się więc sporym i wysoko ocenianym dorobkiem (kilkanaście jego prac było nowatorskich). Jego badania na Uniwersytecie Yale dotyczyły mechanizmów regulacji odpowiedzi immunologicznej. W morderczej, wielogodzinnej codziennej pracy zawsze pomagała mu wielka wyobraźnia ukierunkowana pytaniem: dlaczego?

WSKAZÓWKA

– Fascynowały Pana kiedyś limfocyty supresyjne... – mówię, bo kilkanaście lat temu dopytywałam profesora (wiedząc o jego pracach na ten temat) o to, dlaczego płód, który jest przecież immunologicznie obcym dla kobiety ciałem, nie jest przez nią odrzucany. W mojej pamięci równocześnie odtwarza się obraz, gdy immunolog, oprowadzając mnie wtedy po laboratorium (też przy ul. Czystej), gdzie w zamkniętych klatkach mieszkało pełno uroczych myszek i długowłosych morskich świnek, opowiadał z pasją o makro-fagach, mikro-fagach... Bez wahania więc tym razem uprzedzam: – Profesorze, proszę wybaczyć, ale chyba nie podejmę się opisywania badań podstawowych, które



Z prof. Aleksandrem Skotnickim

Pan prowadzi. Dla mnie, dziennikarki o humanistycznym wykształceniu, to zbyt trudne.

– Nie tylko dla Pani, więc nie ma się co stresować – śmieje się profesor. I od razu dodaje: – Moim zdaniem nie ma żadnej potrzeby obarczać czytelników rozważaniami na temat limfocytów T, nadwrażliwości komórek, siły reakcji immunologicznej, zjawisk kontrasupracji itd.

– To może wyniki Pana doświadczeń przełożyć na ich zastosowanie w lekarskiej praktyce?

– Tego się nie podejmuję. Ja badam myszy, więc zajmując się nimi, myślę jedynie o tym, jak poznać prawdę – choć wiadomo, że w nauce to pojęcie nie istnieje, bo nie ma bezwzględnej prawdy, a jest tylko aktualna. Ponadto swą pracę (często we wspólnocie z innymi) uważam za przyjemność, za intelektualną zabawę. Tyle że... państwo mi za to płaci.

To ostatnie wypowiedziane zdanie to oczywiście dowód na żartobliwe dziś podejście profesora do własnej, benedyktyńskiej ongiś pracy. Pracy, o której śmiało można powiedzieć, że dla medycyny praktycznej jest istotną wskazówką, pomocną choćby w transplantacji czy w zrozumieniu pozytywnego działania naszej normalnej flory bakteryjnej (uwaga: nadmiernie często myte dzieci rozwijają nieprawidłową odpowiedź immunologiczną, częściej są alergiczne).

BEZ RECEPTY

– Czy prawdą jest, że mając tytuł profesora medycyny, nie może Pan sam sobie wypisać recepty? – już nie o nauce, a o życiu chcę teraz porozmawiać z uczonym, który od ćwierć wieku jest

członkiem Polskiej Akademii Nauk, a także jednym z założycieli (odnowicieli) Polskiej Akademii Umiejętności.

– Mam kolegów lekarzy, zawsze ich mogę o nie poprosić.

– Nie rozumiem...

– Ja też nie. Ale takie jest życie...

To „życie” to oczywiście przepisy, rozmaite zarządzenia – prawo. Gdyby Włodzimierz Ptak zdecydował się odbyć odpowiednie, trzymiesięczne staże na ginekologii, internie, okulistyce, pediatrii, chirurgii..., to by nie miał problemu z lekarską pieczęcią, z receptami. Tyle że on tych staży nie odbył, bo jak mówi:

– Po uzyskaniu dyplomu, niemal od razu, zainteresowało się mną wojsko; wojna koreańska napędziła w obozie socjalistycznym tyle strachu, że aż na pięć lat skazała mnie na stacjonowanie a to w Jeleniej Górze, a to we Wrocławiu, Katowicach czy Szczecinie. Tyle że władze wojskowe – nie mając zaufania do kogoś, kto się przyznał, że brat ojca i siostra matki są w Ameryce – nie do jednostek wojskowych przydzieliły wojaka, a do organizacji paramilitarnych. W tzw. Służbie Polsce (SP) miałem opiekować się zdrowiem młodzieży, która budowała w Jeleniej Górze Celwis-kozę – fabrykę tworzyw sztucznych. Dość szybko przeniesiono mnie stamtąd pod Wrocław.

ROZMOWA ZE STARSZYM PANEM

Z przeniesienia do Leśnicy młody lekarz nawet się ucieszył. Dlaczego? Bo we Wrocławiu, a więc dość blisko od Leśnicy, był Instytut Immunologii i Terapii Doświadczalnej, w którym chciał podjąć pracę jako wolontariusz. U profesora Ludwika Hirszfelda, który – wraz z niemieckim lekarzem Emilem van Dungernem – stworzył podstawy nauki o grupach krwi i wprowadził ich oznaczenia (A, B, AB, 0), uznane od 1928 roku powszechnie na całym świecie.

– Wybrałem się – rzecz jasna w mundurze z naszytymi gwiazdkami porucznika – do profesora, choć go nie znałem. Nie wiedziałem nawet, jak wygląda. Mówię o tym, bo właśnie ów fakt może zadecydował, że zostałem do Instytutu od razu przyjęty.

Trzeba mieć nie tylko fart – tak sobie pomyślałam po wysłuchaniu opowieści o owym przyjęciu. Bo zatrudnienie miało miejsce nie w gabinecie cenionego mikrobiologa i serologa, a właściwie przed budynkiem. Wtedy, gdy kandydat na wolontariusza siedział na ławce w oczekiwaniu na wezwanie. Nim to jednak nastąpiło, wdał się w rozmowę ze starszym panem, który się do niego przysiadł. Rozmowa trwała długo. Później pan się pożegnał. I poszedł. Jakież było zdziwienie Ptaka, gdy po wezwaniu do gabinetu szefa za biurkiem zastał właśnie... owego starszego pana! Hirszfeld (ów pan) natychmiast skierował młodziana do cenionego z osiągnięć naukowych kierownika Zakładu Wirusologii Henryka Makowera;

ten wcześniej był stypendystą Rockefellera i pracował przez jakiś czas w Stanach Zjednoczonych.

W CHARAKTERZE PEDIATRY

Radość współpracy z najlepszymi, na dodatek w mieście, w którym zdał egzamin wstępny, zdał go i został przyjęty na Akademię Medyczną (tak było też w krakowskiej AM, którą wybrał ze względu na matkę i dom rodzinny), nie trwała jednak długo. Tylko kilka miesięcy. Wojsko – pomimo wielokrotnie pisanych próśb o zwolnienie – przeniosło podwładnego do Katowic. Później do Bydgoszczy.

– Jak sobie przypomnę Bydgoszcz, śmiech i dziś mnie ogarnia. Kazano mi pracować w przychodni lekarskiej w charakterze... pediatri! Na szczęście, miałem dwutomowy, rosyjski – wydany w Polsce – podręcznik z tej specjalizacji. I dzięki niemu pomogłem też małej dziewczynce, która cierpiała całymi latami.

– Z jakiego powodu?

– Owsików, pasożytów z typu nicieni. Udało się je jednak zwalczyć. I to według zaleceń owego podręcznika. Ale nikt by dziś

nie uwierzył, czym! Otóż fioletem gencjany, który na ogół służy w laboratoriach do barwienia badanych bakterii – mówi profesor, zapowiadając tajemniczo dalszy ciąg tej historii...

FART

Lekarz w mundurze, po powrocie z urlopu etatowego pediatri, znów musiał oddać się w dyspozycję wojska (SP już rozwiązano) i zgłosić do kadr. Te zaś wysłały go do jakiegoś pułkownika, który – gdy usłyszał nazwisko: Ptak – popatrzył jakby przyjaźniej. I niespodziewanie dla delikwenta powiedział: – Poruczniku, jesteście dobrym lekarzem, wyleczyliście mi córkę. Gdzie teraz chcecie, abym was wysłał?

Propozycja, wykluczająca myśl o „przydziałowej” Gołdapi, okazała się fartem. Bez namysłu wybrał Szczecin, jednostkę artylerii przeciwlotniczej. Liczył na uczelnię medyczną, która dopiero się tworzyła. I na ciekawe badania, jakie się w niej zapowiadały.

W rezultacie Szczecin zatrzymał go. Do Krakowa wrócił dopiero po paru latach i z napisaną pracą doktorską.

– Tę pracę – uznaną wówczas za najlepszą pracę naukową w Polsce na ten temat hormonów sterydowych – obroniłem w 1962 roku, gdy już jakiś rok pracowałem w Krakowie, w Zakładzie Mikrobiologii przy ul. Czystej. Pojechałem więc na tę obronę do Szczecina, ale pech chciał, że mój promotor, prof. Janusz Mąkowski, akurat musiał wyjechać do Paryża. Dziekan Krechowicki, anatom, był więc najważniejszą osobą przy obronie – wspomina profesor. I zaraz, z charakterystyczną dla siebie przekorą, dodaje: – Jeśli obrona pracy wypadła bardzo dobrze, to już egzamin z fi-



W towarzystwie Philipa Askenase, immunologa z Yale University

lozofii dość słabo, bo egzaminator był wierzącym marksistą, a ja pozytywiwą logicznych.

INNY OGLĄD RZECZYWISTOŚCI

– Polityka ani władza Pana nie pociągały? – pytam, bo dotąd ani słowo w naszych rozmowach nie padło o tym, że w latach 1978–1981 Włodzimierz Ptak pełnił funkcję prorektora do spraw nauki w krakowskiej Akademii Medycznej.

– Nigdy mnie to nie interesowało. Raz jeden tylko uległem namowom prof. Tadeusza Popieli (właśnie za jego rektorskiej kadencji), którego uważam za wybitnego chirurga i organizatora. Notabene, niejeden z dziś liczących się klinicystów czy ludzi, którzy oddali się nauce, zawdzięcza mu wsparcie przy wyjazdach na zagraniczne staże czy stypendia. Dlatego ubolewam, że w początkowym okresie „Solidarności” brzydkimi metodami usiłowano niszczyć tego człowieka. Przy okazji zresztą i mnie się dostało – choć nigdy nie należałem ani do ZMP, ani do PZPR. Ani też nie miałem żadnych kontaktów z UB czy SB, co nawet jest bardzo dziwne, zważywszy że tyle razy wyjeżdżałem za granicę. Tu dygresja: byłem za to przepytywany w Yale University przez miłą dziewczynę z FBI, którą ciekawiło, co ja właściwie w USA robię – to słyszę w odpowiedzi.

Cóż, prawda jest taka, że choć wszyscy byli za zmianami w kraju czy na uczelni, to jednak drogę do tych przemian każdy

widział nieco inaczej. Jeśli dobrze zapamiętałam jedno z bardziej burzliwych posiedzeń władz AM (obsługiwałam je dziennikarsko) w najbardziej gorącym, strajkowym czasie, to prof. Ptak zdecydowanie protestował przeciw temu, aby o wyborze rektora mieli decydować przysłowiowa sprzątaczką czy nawet studenci.

UKOCHANE WHITE TERRIERY

Włodzimierz Wojciech Ptak – po dziadku, także i po ojcu – jest hardy. Mówi – co myśli. Robi – co chce. Tak było od dzieciństwa. Pewnie od chwili, gdy mimo protestów mamy znosił do domu paskudne robactwo, żaby, myszy...

– Nie rozumiem: dlaczego nie na biologię, a na medycynę Pan się wybrał? – z tego pytania nie potrafię zrezygnować.

– Interesowały mnie nauki biologiczne w szerszym zakresie. Tyle że już na pierwszym roku studiów, które rozpocząłem w 1946 roku – mimo celująco zdanego egzaminu z fizyki u prof. Henryka Niewodniczańskiego – zorientowałem się, że bardziej interesują mnie nauki podstawowe niż leczenie ludzi – odpowiada mój interlokutor. I po raz kolejny sięga po foliową koszulkę. Tym razem wyciąga z niej i pokazuje mi zdjęcie prezentujące w efektownej pozie swoich pupilów – dwa white terriery z całą pewnością są zakochane w swoim panu...

Teresa Bętkowska



Dwaj wierni przyjaciele, którzy chętnie chodzą z profesorem na długie spacerory

CHEMIA TO JEGO PASJA

Doktorat *honoris causa* UJ dla profesora Rudiego van Eldika

Na uroczystym posiedzeniu Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego, zorganizowanym 26 maja br. pod przewodnictwem rektora UJ prof. Karola Musioła, godność doktora

honoris causa naszej Uczelni otrzymał prof. Rudi van Eldik – światowej sławy chemik i niestrudzony popularyzator tej dziedziny wiedzy.



Uroczystość odbyła się w auli Collegium Maius



Laudację wygłosiła prof. Zofia Stasicka



Profesorowi Rudiemu van Eldikowi towarzyszyła w uroczystości najbliższa rodzina

Uchwała Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego z 25 listopada 2009 roku podkreśla wybitne osiągnięcia prof. Rudiego van Eldika w zakresie kształcenia młodej międzynarodowej kadry chemicznej i w zakresie propagowania wiedzy chemicznej w społeczeństwie. Zwraca też uwagę na wieloletnią ścisłą współpracę profesora z polskim środowiskiem chemicznym, a w szczególności na promowanie młodych polskich chemików na forum światowym.

Zainteresowania naukowe profesora van Eldika skupiają się przede wszystkim na mechanizmach reakcji chemicznych o podstawowym znaczeniu dla procesów biochemicznych, katalitycznych



Profesor Rudi van Eldik oraz dziekan Wydziału Chemii prof. Grażyna Stochel

i środowiskowych. Opracowane przez niego nowe metody z zakresu wysokociśnieniowych technik spektroskopowych i kinetycznych istotnie przyczyniły się do rozwoju badań podstawowych, co umożliwiło lepsze poznanie molekularnej natury wielu ważnych procesów chemicznych – powiedziała w laudacji prof. Zofia Stasicka.

Profesor van Eldik jest doktorem *honoris causa* czterech uniwersytetów, honorowym członkiem wielu towarzystw naukowych, redaktorem naukowym prestiżowej serii „Advances in Inorganic Chemistry” (Academic Press/Elsevier), współredaktorem „Coordination Chemistry Review” oraz członkiem wielu komitetów redakcyjnych czołowych czasopism chemicznych. O międzynarodowym uznaniu osiągnięć profesora świadczy również realizacja w jego laboratorium staży i misji badawczych przez naukowców z całego świata, w tym przez liczną grupę stypendystów Fundacji Humboldta.



Doktorat honoris causa wręczył prof. Rudiemu van Eldikowi rektor UJ prof. Karol Musiol

Profesor van Eldik współpracuje naukowo z badaczami z Wydziału Chemii UJ od wielu lat. Kilkakrotnie prowadził też wykłady i seminaria z zaawansowanej chemii nieorganicznej i bionieorganicznej dla studentów i doktorantów Wydziału Chemii UJ. – *Chemia jest pasją profesora, a wiedzę chemiczną dzieli się on nie tylko ze środowiskiem naukowym, ale z każdym, kto chce obejrzeć niezwykle ciekawe, transmitowane przez telewizję, pokazy Magic Chemistry Show, które gromadzą kilkumilionową widownię* – mówiła prof. Grażyna Stochel, dziekan Wydziału Chemii UJ, wieloletni współpracownik profesora.



Wręczenie kwiatów doktorowi honoris causa przez studentów z zespołu Słowianki

Uchwałę Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego o nadaniu doktoratu *honoris causa* prof. Rudiemu van Eldikowi poparły, na podstawie recenzji prof. Jerzego Błażejewskiego i prof. Bogdana Marciniaka, uchwały Senatu Uniwersytetu Gdańskiego i Senatu Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Treść dyplomu odczytała prof. Grażyna Stochel.

Uroczystość nadania doktoratu *honoris causa* poprzedziła sesja naukowa *Understanding the Mechanisms of Chemical Processes*, zorganizowana na Wydziale Chemii UJ, w czasie której zaprezentowano kilkanaście referatów o tematyce będącej głównym nurtem zainteresowań naukowych prof. Rudiego van Eldika oraz badaczy z Wydziału Chemii UJ współpracujących z Uniwersytetem w Erlangen-Nurnberg.

Alicja Rafalska-Łasocha